Nr. 22. Poznań, dnia 27. Maja 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

KOMUNA W PARYŻU.

Ostatnie telegramy z Wersalu przyniosły nam wiadomość o wkroczeniu wojsk rządowych francuzkich do Paryża, o zajęciu wielkiéj części miasta i postępach ciągłych wojska, które pędzi przed sobą rokoszan paryzkich na wzgórza Montmarte, gdzie bohaterowie komuny zamyślają się oszańcować i odgrażają się, że upadek swój uświetnią zniszczeniem połowy Paryża. Szaleństwo nie ratuje nigdy, nie uratuje ono i komuny, jeszcze dni kilka a cały Paryż będzie musiał ugiąć głowę pod rządem wersalskim i chyba krwawe wyroki sądów doraźnych będą przywodziły na pamięć upadłą sprawę. Dążności i cele tego ruchu, który przez dwa miesiące przeszło niepokoił nietylko Francyę lecz i Europę, są dzisiaj w chwili upadku dość jasne, czas tedy zdać sobie sprawę z tych wypadków, które były tak długo zagadkowemi, które w czasie krótkiego swego trwania doczekały się najrozmaitszych sądów, bo i adresów uznania z Anglii i Niemiec, a które jednocześnie zostały bezwarunkowo potępione przez szczerych przyjaciół ludu i wolności.

Rewolucya dokonana 4. Września zeszłego roku rozwiązała Paryżanom języki. Rząd cesarza Napoleona zezwalał wprawdzie na tłumne i hałaśliwe zgromadzenia, które miały na celu zabawę zmysłową lub umysłową, pozwalał nawet wyznawcom najrozmaitszych doktryn socyalnych rozwijać przed licznie zgromadzoną publicznością swoje teorye, lecz nie dopuszczał nigdy zgromadzeń, gdzieby o polityce i religii rozprawiano. Z upadkiem tego rządu pękły węzły krępujące swobodę dyskussyi, a Paryżanie nie zaniedbali korzystać z nowéj wolności, tém więcéj że same wypadki współczesne niejako wzywały każdego do rozmyślania i rozprawiania o państwie, jego potrzebach i celach. To też nazajutrz po dokonanéj rewolucyi powstały liczne kluby polityczne: „Folies-Bergèse“, „Reine-Blanche“, „Colège de France“, „Closerie de Lilas“, „Patrie en danger“, „Delivrance“, „de la Vengeance“, i t. d. i t. d., przybierające nazwy już to od miejsca zgromadzenia, już to od przeważnego zadania, jakie sobie klub postawił. Przypomnijmy sobie, że z początkiem oblężenia zmniejszyły się w Paryżu środki zarobku, że cała ludność Paryża poszła pod broń, że nadto przeszło 100,000 gwardzistów ruchomych przybyło do stolicy, a że ci gwardziści po kilkugodzinnéj mustrze nie mieli nic do roboty, a zrozumiemy że licznym tym klubom nie zbrakło publiczności. Każdy klub konstytuował się jako ciało obradujące pod prezydencyą jakiegobądź agitatora, znanego z dawniejszych lub ostatnich czasów i rozpoczynał narady nad zbawieniem Paryża, Francyi i świata całego, a jędrne w sformułowaniu swem rezolucye rozbijały się o stropy sali obrad i burzyły rozgrzane już i tak głowy Paryżan. W grudniowym zeszycie „Revue des deux Mondes“ skreślił p. Molinary dosadny obraz tego życia klubowego. Czego tam nie wypowiedziano, czego tam nie uchwalono! Czytającemu te mowy mimowolnie rodzi się myśl w głowie, czy przeważna część mówców nie należała raczéj do domu obłąkanych, aniżeli na mównicę w zgromadzeniu politycznem.

Smutne to zjawisko, lecz niestety zupełnie naturalne. Niepowodzenie pod Weissenburgiem i Wörth, hańba sedańska i oblężenie hermetyczne stolicy pozbawiły umysł Paryżan równowagi. Przedstawmy sobie to olbrzymie miasto, nawykłe żyć w wspólności z całym światem, być jego wyrocznią i stolicą, nagle odcięte od reszty świata, odcięte od reszty Francyi, która ma się uzbroić aby je uratować, a zrozumiemy potworne pomysły, jakie dojrzewały w klubach paryzkich. Dodajmy do tego wrodzonego mieszkańcom wielkich miast, a przedewszystkiem Paryżanom, ducha fakcyi, walkę tegoż z duchem czystego patryotyzmu i poświęcenia a zrozumiemy i walki wewnętrzne w czasie oblężenia miasta, które narodziły się z tych narad klubowych.

Początkowo było stałym przedmiotem obrad wszystkich klubów wynalezienie środków, któremiby wojsko niemieckie wygubić można, następnie znalazła się na porządku dziennym kwestya socyalna, a ostatecznie krytyka republikańskiego rządu. Oblężenie przeciągało się, pomoc z Francyi nie nadchodziła, warownie pomniejsze, a wreszcie Strasburg i Metz dostały się w ręce nieprzyjaciela; rząd winien! krzyknięto ze wszystkich stron. Trochu i Favre są takimiż niedołęgami, jak wypędzeni przez nich ministrowie cesarscy, wydadzą oni na jatki Paryż, jak Napoleon armię, trzeba innych ludzi energicznych, przyjaciół robotników, nie majętnego mieszczaństwa, ludzi, którzy potrafią zwyciężyć Prusaków, albo co do joty wykonają słowa Favr'a, że „Paryż raczéj się zagrzebie w gruzach, aniżeliby się poddać miał.“ Rzucono myśl wyboru „komuny“; od téj chwili poczęto bezprzestannie mówić we wszystkich klubach o téj komunie, jako o środku zapobieżenia wszystkiemu złemu. Komuna miała od razu stworzyć armią, natchnąć ją duchem militarnym i męztwém, znieść oblężenie i zniszczyć nieprzyjaciela; komuna miała stworzyć swobodę municypalną, znieść wszystkie wady w ustroju społecznym, zabezpieczyć na zawsze ubogich od nędzy i przemocy bogatych; komuna urzeczywistni królestwo boże na ziemi. Co zaś w gruncie rzeczy znaczył ten wyraz, o tém oprócz późniejszych naczelników nikt nie wiedział, z pewnością nie lud, który krzyczał przed ratuszem „niech żyje komuna“ i w ówczas gdy żądał wybrania municypalności, i w ówczas gdy się domagał wycieczki na wielkie rozmiary. Tém mniéj rozumiano ów wyraz za granicą, gdzie jedni wystraszeni pokrewieństwem wyrazów „komuna“ i „komunizm“, żegnali się przed powstającym czerwonym upiorem, inni biorąc słowo „komuna“, w dosłownem jego znaczeniu dziwili się nad uporem rządu, który Paryżowi niechce przyznać samorządu gminnego.

Gdyby to rzeczywiście w Paryżu chodziło tylko o ustanowienie ordynacyi gminnéj, któraby obywatelom dozwalała obierać sobie burmistrza i radzców miejskich i oddawała w ręce miasta zawiadowanie własnemi funduszami i sprawami gminy w granicach, jakie interes ogółu koniecznie musi nakreślić samorządowi gminy, w takim razie żądanie Paryżan byłoby zupełnie słuszne, a odpowiedzialność za krwawe dwa miesiące, które właśnie ubiegły, przywaliłaby rząd wersalski. Lecz pomiędzy pojęciem komuny u nas, a we Francyi, istnieje wielki przedział i dopiero skoro sobie uprzytomnimy, czém była komuna za dawnych czasów we Francyi, a mianowicie czém była komuna paryzka w czasie pierwszéj rewolucyi i jaką rolę miała ona i teraz odegrać podług niedwuznacznych wyrażeń i postępków członków komitetu centralnego i zmartwychwstałéj komuny, zrozumiemy, że cale o co innego walczono pod Paryżem i na ulicach jego, jak o stworzenie swobodnéj ordynacyi gminnéj dla miasta Paryża.

Nie od wczoraj to stała się „komuna“ hasłem walk wewnętrznych we Francyi. W r. 1073 powstali mieszkańcy miasta Le Mans przeciwko swemu hrabiemu, utworzyli komunę i żądali swobody od podatków, prócz tych na które sami pozwolą, niechcieli zezwolić bowiem panu swemu na wprowadzenie wojsk do miasta i postawili się w stósunku do niego, na stanowisku równouprawnéj całostki państwowéj, dopóki Wilhelm normandzki swarzące się strony nie zagarnął pod swe panowanie. Była to przegrywka do wielkiego ruchu miast przeciw panom feudalnym, jaki powstał w pół wieku późniéj w północno-zachodniéj Francyi, a którego dokładny obraz czytaliśmy niedawno w feljetonie Dziennika Poznańskiego. Królowie francuzcy walcząc z swymi wassalami, wyłamującymi się z posłuszeństwa należnego Koronie, oparli się na miastach i za pomoc im daną obdarzyli je przywilejami, które były po prostu sformułowaniem owych żądań miasta Le Mans. Ludwik IX lubił wspominać, jak w podróży z Orleanu do Paryża został napadnięty przez zbuntowanych wassalów w okolicy Monthérie i tylko obywatelom miasta Paryża zawdzięczał swe ocalenie. To też wywdzięczył się miastu i on i jego następca Filip. Gilda kupiecka paryzka ze swym „Prevôt des marchand“ na czele otrzymała przywileje, które jéj wpływ na opodatkowanie kraju zapewniały. Królewski rozkaz ustanowił, aby nie wyłamano żadnego prawa dotyczącego podatków, ceł i monety bez poradzenia się posłów miast; pozostawiono miastom rozkład na obywateli przypadającego na nie podatku; zostali postanowieni urzędnicy, którzy mieli poprawić prawodawstwo miejskie, którego wykonanie także władzom miejskim przypadło. Na fundamencie tych to praw rozdzieliły się miasta francuzkie na podległe królowi lub panom „bourgeoisies“, i na komuny, które same obierały swe władze, wolne były od wszelkich serwitutów, posiadały własną juryzdykcyą i prawo bronienia swych przywilejów nawet orężem. Lecz w téj saméj chwili, gdy potężne te komuny, a mianowicie paryzka, posięgnęły się po sumę władzy państwowéj, gdy chciały utworzyć państwo w państwie i nad centralną władzą rozciągnąć swój nadzór, straciły i dawniejsze swoje znaczenie.

Wojny angielskie zachwiały potęgę korony i szlachty. W bitwie pod Crecy padło 11 książąt, 80 baronów, 1200 rycerzy; w bitwie pod Portiers dostał się król Jan do niewoli, a szlachta nietylko poniosła równie srogie straty, jak pod Crecy, lecz nadto podała w wątpliwość waleczność swoją. Klęski te pozbawiły Francyę przeważnego stanowiska, jakie zajmowała w stosunkach międzynarodowych, a wewnątrz kraju powołała do politycznego życia żywioł wiejski, który wzrosłszy powoli teraz nagle wystąpił z wielką siłą i jeszcze większemi wymaganiami. Zgromadzenie stanów północnéj

Francyi, zwołane 1357 roku celem obmyślenia środków dalszéj obrony, składało się w większéj połowie z reprezentantów miast, którzy poczuwszy się na siłach probowali zmienić formę rządu. Stany zażądały, aby im przysługiwało prawo nietylko zezwolenia na podatki, ale by im nadto zlecono wybieranie i wydawanie tychże, aby wolno im było zgromadzać się i wydawać prawomocne uchwały, aby o wojnie i pokoju nie stanowiono bez poradzenia się wybranego z pośród stanów wydziału. Był to zakus zaprowadzenia rządów parlamentarnych w najrozleglejszem znaczeniu. Niebawem poszła ta partya daléj. Naczelnik jej, Robert Lecoq odezwał się głośno, że stanom przysługuje prawo złożyć króla z tronu i zmienić dynastyę, a jako urzeczywistnienie tych radykalnych idei wybuchły w Paryżu pod przewództwem Stefana Marcela, pierwszego urzędnika miasta, krwawe rozruchy przeciwko istniejącemu rządowi, gdy tenże stałych wymagał podatków. Lecz morderstwa na marszałkach i radzcach królewskich dokonane nie posłużyły sprawie miasta; zagrożeni równo król i szlachta połączyli się tém ściśléj z sobą, a gdy w bitwie pod Roesbeke (1382) miasta Flandryi zwyciężone zostały, ukorzył się i Paryż przed królem, lecz za późno. Miasto zostało surowo ukarane, zniszczono jego przywileje, odebrano mu prawo wybierania sobie „Prevôte des Marchands“ i jego ławników, kazano oddać broń, zbudowano bastillę; o prawie przyzwolenia na podatki i mowy nie było, dawne cła i ciężary nałożono na miasto, a nikt nie śmiał stawić oporu.

Tak utraciła komuna Paryża swą samodzielność, a z wzrostem potęgi monarchii i resztę znaczenia. W czasie zaburzeń ligi i frondy użyli wprawdzie Guizowie i kardynał Retz gminy paryzkiéj jako środka agitacyi, lecz politycznego znaczenia nie powrócono jéj. Żelazna dłoń kardynała Richelieu i Ludwika XIV zamieniła komunę paryzką na podległą rządowi władzę administracyjną i tém pozostała ona aż do wielkich wypadków r. 1789.

Jak wzniesienie bastylli przez Karola V było dniem upadku, tak zniszczenie jéj 14 Lipca 1789 było dniem odżycia władzy komuny. W owych to dniach zamięszania i anarchii w Paryżu, gdy upadła powaga królewskiego rządu, podjęła porzucone cugle władzy paryzka komuna. Ratusz miejski stał się nagle i jak gdyby sam przez się potęgą. Główna kwatera milicyi była na ratuszu, sędziowie niepewni, jakie prawa w ogólnem rozprzężeniu są jeszcze prawomocne, odsyłali oskarżonych na ratusz, władza cywilna, sądowa i wojskowa przypadła członkom rady miejskiéj, a niebawem i prawodawcza. Gdy bowiem nowemu zadaniu komuny nie mógł podołać dawny jéj skład, owoc zastarzałych urządzeń, wypracowała sobie rada miejska sama nową konstytucyę. Tak powstała 30 Lipca nowa komuna paryzka, złożona z 120 reprezentantów, po dwóch z każdego okręgu, która odtąd była najpotężniejszym żywiołem rewolucyjnym. Ona to zorganizowała pochód zbrojnego ludu do Wersalu 5 Października, a podwoiwszy liczbę swych członków rządziła za pomocą wybranych z pośród siebie komisyi, a mianowicie komitetu śledczego (comité de recherches) Paryżem i niepomału się przyczyniła do powiększenia anarchii. Mimo to jednak oskarżali ją radykalniejsi demagogowie o forytowanie interesów arystokracyi pieniężnéj i w tym samym czasie, gdy komuna przepisywała oficerom gwardyi narodowéj następującą rotę przysięgi: „przysięgam na wierność narodowi, królowi, prawu i komunie paryzkiéj“, została ona rozwiązana dekretem zgromadzenia konstytucyjnego, Paryż podzielony na 48 sekcyi, które wybierały 16 administratorów, tworzących z merem na czele właściwy magistrat, i 32 radzców municypalnych i 96 notablów, którzy składali jeneralną radę miejską.

(C. d. n.)

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Na wsi trzymano w zupełnéj tajemnicy całą ową historyą zdobycia nowéj fortuny przez hrabiego Edmunda. Ostójski tylko zasłyszał coś z dala niepewnego o projektach ożenienia, ale z kim, co? niewiedziano.

Jednego ranka gdy Cześnikiewicz pracował w swoim pokoju, a prawdę powiedziawszy ciągnął kabałę — zastukano do drzwi, prawie równocześnie drugiemi wszedł Jakóbek i oznajmił, że Abraham Helig chciał się widzieć...

„A to niech wejdzie“ rzekł Ostójski.

Otworzyły się drzwi od ganku i znana postać starego Heliga pokazała się w progu, z niezwykłą na twarzy jasnością. Ostójski tak był uderzony wyrazem fizognomii starego żyda, iż sądził z razu, że wielki los na loteryi musiał wygrać.

Stary żyd, najmajętniejszy kupiec w miasteczku, który dostarczał wszystkiego Ostójskiemu i zostawał z nim w dobrych stósunkach, człowiekiem był uczciwym, nie zbyt wykształconym, ale już trochę w świecie otartym. Sadził się nawet na mówienie czysto po polsku.

Za młodu chodził on starą modą, ale się z czasem przebrał, jak mówił, po niemiecku, chociaż zostały mu niektóre części stroju właściwe tylko naszym izraelitom.

„Kłaniam uniżenie, panie Helig, kłaniam uniżenie.“

Abraham nienosząc już pasa, rękę założywszy za sur-

dut, uśmiechając się kłaniał. „Jak się pan Cześnikiewicz ma? czy dobrze zdrów?“

„At, co chcesz, stare graty kości noszą... stary grzyb jestem i mam się jak skrzypiąca wierzba...“

„A! a! albo to jegomość stary, ja dziesięć może lat starszy jestem...“

„A w roku przeszłym trzeci się raz ożeniłeś? niepraw-daż?“ dodał Ostójski, „no — jabym tego głupstwa zrobić niepotrafił.“

„Dla czego to ma być głupstwo?“ zapytał Abraham.

„U nas to tak nazywają.“

„A u nas, panie Cześnikiewicz mówią, że przykazanie Boże.“

Ostójski ruszył ramionami.

„No? co słychać panie Abraham...

„Hm! co słychać? to pan już musi wiedzieć.“

„Naprzykład?“

„Dla nas, to największa nowina, że młody pan hrabia jutro się żeni, a pozajutro tu będzie z żoną.“

„Doprawdy?“

„W samej istocie“, mówił uśmiechając się Abraham, „no! i pięknie się ożeni! Panienka ma trzykroć sto tysięcy talarów, oprócz co jéj stryj da wyprawy, a to pierwszy bogacz w Berlinie.“

„Ale któż? co? jak się zowie?“ pytał Ostójski.

„Ona jest synowicą sławnego bankiera, barona Sauera. Czyż byś pan o nim nigdy nie słyszał? a! to nie może być!“

„A! ten co szachrował na kolejach.“

„Szachrował? przepraszam pana“, rzekł Abraham, „on szpekilował — ja coś o tém wiem...“

Ostójski się zamyślił mocno.

„Synowica Sauera?...“

„Tak jest, a mnie ona wypada po siostrze — siostrzenica...“

Ostójski osłupiał...

„Co waćpan mówisz! hrabia! ale to nie może być.“

„Jak nie może być, kiedy jest!“ rzekł tryumfalnie Abraham, „moja rodzona siostra była za Henrykiem Sauerem...“

„Jakto? hrabia by się ożenił z żydówką?“ zakrzyczał Ostójski, któremu się mięszało w głowie.“

„No tak... ale ona już zapewnie przyjmie taką wiarę jakiéj będzie potrzeba. Ja tego nie chwalę... a ją tak wychowali. Teraz i u nas taki wiek nastał, że ludzie swojéj wiary nie trzymają.“

„Ale cóż u sto diabłów“, rozchodził się Ostójski, „co mi asiendziéj prawisz panie Abraham, hr. Edmund żonaty z siostrzenicą waszą?“

„I z rodzoną!“ rzekł powoli Abraham, ruszając ramionami. „No, to co? to co? oni stara familia i wy stara familia... my jesteśmy z pokolenia Lewi, a to wiadomo, że my egzystowali kiedy tych hrabiów na świecie wcale słychać nie było...“

Ostójski stał ciągle osłupiony, nagle zerwał się i otworzywszy drzwi począł wołać: Klaro! Zosiu! Zosiu! Klaro! a proszę, a prędko!

Obie kobiety wbiegły prawie natychmiast a widząc starego poruszonego, domyśliły się że Abraham jakąś nowinę przynieść musiał.

„Cóż to się stało? co? a! dobry dzień panie Helig...“

„Co się stało?“ zawołał Ostójski, „ja tego wam powiedzieć niepotrafię, a gdybym powiedział, myślelibyście, że z was żartuję.“ Niech Abraham powie.

„A! proszę pana“, rzekł Abraham, cóż tak nadzwyczaj osobliwego! Gdy pożyjemy, zobaczymy może dziwniejsze rzeczy, wiek taki nastał!“

Zosia patrzała ciekawie.

„Dziwnego? cóż dziwnego się stać mogło?“ spytała.

„Nic dziwnego“, odparł Abraham, „młody hr. Edmund jutro się żeni, z bardzo bogatą, piękną i dosyć wychowaną panną, a że ona jest moja siostrzenica...“

Panna Klara krzyknęła, — Ach! zakryła sobie oczy i padła na kanapę.

„Skończenie świata!“ zawołała, — Zosia zaczęła się śmiać.

„Doprawdy?“ rzekła prychając. „Słowo daję panience“ poważnie odezwał się Abrakam, „no — co dziwnego...“

Po chwili Klara wstała blada z rękoma załamanemi.

„Bez pozwolenia rodziców!“

„A! jak to? stary hrabia był na ślubie.“

„Gdzie? w synagodze?“ zapytała Zosia naiwnie.

„Nie“, odezwał się Abraham, „ona jest — katoliczka. Na trzy dni przed ślubem ją ochrzcili. Ona miała takiego rozumnego stryja co ją chował na wszelki wypadek bez żadnéj wiary. A jak by jéj przyszło pójść za żyda albo za protestanta...“

Téj teoryi wysłuchały kobiety ze zgrozą. Klara powtórzyła raz jeszcze — skończenie świata!

Ostójski kiwał głową.

„Więc jakże panie Abrahamie, przecie gdy przyjadą, pójdziesz się im pokłonić, albo oni odwiedzą wujaszka? Jak Boga kocham w głowie się mięsza.“

„Nie, ja tego nie zrobię“, odpowiedział izraelita z powagą, „ona porzuciła wiarę swoją, między nią a nami niema już nic, ona nie moja siostrzenica, jam jéj obcy. No — ale przyznam się jegomości, chciałem się przed nim pochwalić! Nie — ja tam nie pójdę, ani ona do mnie nie przyjedzie... Hrabia pewno niewie nawet o tém, że ma wujaszka w miasteczku... a ludzie... będą o tém wiedzieli. Dla biednego żyda“, dodał, „to jest satysfakcya! A! a! czego to teraz za pieniądze kupić nie można! Kłaniam jegomości...“

(C. d. n.)

SŁÓW KILKA O WYCHOWANIU

przez

STAREGO PEDAGOGA.

Sobótka reprezentuje interesa rodziny. Pod miłym cieniem skromnego swego tytułu, zabawia ona, poucza i pobudza ku dobremu; traktuje o najważniejszych wiedzy ludzkiéj gałęziach a śród miłéj zabawy prowadzi członków rodziny jakby ręką przyjaciela do źródeł mądrości i doświadczenia.

Do zadań rodziny należy także wychowanie. Z jego to łona wychodzą przyszłe pokolenia; na niém opiera się lub z niém upada dobro przyszłych rodzin. Wychowanie największem jest rodziny zadaniem i najświętszym jéj obowiązkiem. Lecz drogi jego są często kręte, cel jego ciemny. Łatwo zbłądzić na manowce a nie rzadko wyczerpuje się cierpliwość i siła w zawiłych jego kolejach — poczucie obowiązku słabnie w obec rzeczywistych lub urojonych trudności. Czyżby dla tego nie miała być pożądaną ręka doświadczonego doradzcy, który przejęty świętém natchnieniem podaje się za przewodnika?



Franciszek Mikłosicz.

Jako doświadczony przewodnik pragnę wprowadzić czytelnika na wyniosłość wychowania i z niéj obejrzeć się wkoło. Zacznijmy najpierw od znaczenia matki pod względem wychowania. Śledźmy imiona wielkich ludzi naszego i wszystkich narodów, ludzi, których skronie wieńczyły korony obywatelskie, ludzi, których blask opromieniał, ludzi, co świecą jako książęta poezyi, a przekonamy się, że matki wpływ obudził albo ich talent albo wprowadził go na właściwe tory. Bez téj ich matki byliby zwyczajnymi ludźmi lub przynajmniej innymi zupełnie, a nie takimi, jakimi ich poznaliśmy.

Zapytajmy się rówieśników i przyjaciół naszych, czyjeby imię przejmowało miłém wzruszeniem, kiedy siwizna wieku okrywa już ich skronie; czyjeby słowa, wzrok i istotę utrzymywali zawsze w świeżéj pamięci, tu dla podniety a tam ku przestrodze, odpowiedzą: matki! — A czyż z nami inaczéj się dzieje? Czyż obraz miłości, wijący się około dni naszego dzieciństwa, nie wraził się głęboko i na zawsze w serca nasze? Temu zaś, który go nie posiada, nic na świecie nie wypełni tego braku.

„Matka nie może wychowywać dzieci bez porady ojca“ jest zdanie szeroko rozpowszechnione; lecz nie mniéj prawdziwém jest to drugie: „I ojciec nie zdziała wiele bez przyczynienia się matki.“ Siłę, surowość i umiejętność prowadzenia twardéj walki, słowem człowieka czynu daje ojciec. Sztuką pielęgnowania, porządkowania, wrażliwość na wszystko co delikatne i uczuciowe, co upiększa i słodzi życie, słowem to, co jest estetyczno-niewieściem, może tylko z serca pochodzić matczynego. A jak przymioty owe wspólnie dopiero tworzą charakter szlachetny, tak charakter podobny rozwinąć się tylko może przy wspólném ojca i matki działaniu.

Autor niniejszego miał jako nauczyciel wielokrotnie sposobność obserwowania charakteru dzieci w stósunku do charakteru rodziców. Faktem jest, że namiętności i przywary, polegające na wygórowanych zachceniach, jak opilstwo, złodziejstwo, grzechy płciowe i t. p. rzadko z ojca na dzieci przechodzą. Jakże często n. p. jest syn opilcy człowiekiem najtrzeźwiejszym, syn skąpego i chciwego zwykle marnotrawcą. Znam dzieci, których ojciec częstym był mieszkańcem więzień, one były poczciwe. Jeżeli zaś matka staje się winną tych lub podobnych przywar, to dzieci wstępują w jéj ślady.

Wpływ matki na wychowanie jest większym od wpływu ojca. Ostatni może często przez pierwszą tylko działać. — Matce tylko saméj powierzony jest dziecinny wiek dziecka, pierwsze wrażenia duszy jego od niéj pochodzą, jéj pieczy poruczonym jest nie tylko pierwszy rozwój ciała bezsilnego, lecz i niepozorne, a jednak nader ważne rozbudzanie uczucia i wiedzy. Na tém zaś polega źródło pierwotne dobréj i złéj doli całego życia późniejszego; bo tylko

to, co zdrowe może stwarzać zdrowe, co czyste, wydawać czyste.

Dziecię każde jest w pierwszych latach życia odbiciem jedynie swego otoczenia. Jeżeli obserwować będziemy objawy tego życia, to przekonamy się że dziecię porusza się, patrzy, wyraża, mówi i sądzi jak matka lub niańka, która jemu zawsze towarzyszy. Jest w tém coś więcéj niż zewnętrzne tylko naśladowanie. Wystawmy je na próbę, a rychło przekonamy się, że sposób myślenia i uczucia dziecka zgadzają się zupełnię z myślami i uczuciami temi których codziennie było świadkiem. Matka więc, jeżeli się dziecku poświęca, tworzy i ustala jego charakter. Ale i późniéj zależy dziecko więcéj od matki niż od ojca, któremu interesa, starania o dobro familii często i na długo niekiedy w tém przeszkadzają. Wtedy też nastręcza się matce sposobność pielęgnowania tego, co pod jéj zawiązało się oczami, co powstało pod wpływem jéj istoty i działania.

Wielka przeto część „szczęsnéj doli“ dzieci zależy od matki. Jakaż to myśl szczytna, co za błogie uczucie dla każdéj matki!

Lecz jest to zadanie, problemat trudny. By dojść do tego celu nie można żałować ni pracy, ni zachodów, ni ofiar. A o ofiary właśnie rozbija się łatwo siła ich i poczucie obowiązków. Jakże to podnosi, jak zachwyca, gdy się widzi matkę, która pojęła swoje zadanie, matkę krzątającą się pomiędzy dziećmi z macierzyńską miłością i godnością; ale obraz podobny nie nadto często się nadarza. Gdyby było więcéj matek, równających się pod względem miłości macierzyńskiéj, starożytnym Korneliom, mielibyśmy więcéj odważnych i szlachetnych Grachów.

W wielu tymczasem przypadkach zdają się matki nie mieć ani wyobrażenia o szczytności swego powołania, o świętych swych obowiązkach, o ważności swego działania, o wielkiéj odpowiedzialności w obec siebie samych, w obec dzieci i w obec Boga. Nasze też młode dziewczęta wychowujemy niestety do wszystkiego raczéj, na skarłowiaciałe latorośle źle zrozumianéj cywilizacyi, niż na matki.

Znaczenie drobnych szczegółów w wychowaniu.

Nawet w życiu powszedniém objawia się mądrość przysłowia ludowego: „szanuj drobnostki.“ Codzienne doświadczenie nauczyło tego. Najlepiéj uwydatnia się znaczenie źdźbłów w przyrodzie, a chociażby ktoś nie znał z własnego doświadczenia cudów świata mikroskopicznego, to jednak przyjrzawszy się szczegółom życia własnego, prawdę tę uznać będzie musiał. Każdy przedmiot w naszém otoczeniu, kwiaty na oknach, ptaki w klatce, używanie potraw i napojów i t. p. podaje uważnemu spostrzegaczowi sposobność przekonania się własném doświadczeniem o znaczeniu drobnych szczegółów. Żałować przychodzi że większość ludzi na słowo dla tylko tylko wierzy, by przy najpierwszéj znowu sposobności wątpić, zamiast się przekonać, a w tém przekonaniu działać ku własnemu dobru.

Nigdzie jednak znaczenie drobnych szczegółów nie bywa częściéj i niestety z większém lekceważeniem traktowane jak na polu wychowania. Wiecznie potwarzają. „Ah! to rzecz tak małéj wagi, to nie zaszkodzi!“ Łatwém to jest do wytłumaczenia. Wpływ drobnych przyczyn na duszę ukrywa się przed naszemi oczyma, uważnemu objawia się często po długim dopiero czasie, nieuważnemu nigdy.

Kto pod wychowaniem nie rozumie nic innego jak rozkazywać i karać, ten naturalnie nigdy tego nie pojmie. Wychowanie jest pracą około zdrowia i czystości duszy, w zdrowém i czystém ciele. Pomijając wychowanie ciała, traktować tu będziemy tylko o wychowaniu duszy, podstawą którego jest jéj własna natura. Jak nauka lekarska, tak wychowanie jest nauką na doświadczeniu opartą — empiryczną — a zarazem sztuką. Przewodnik powinien w całéj pełni tego wyrazu być lekarzem duszy. A jeżeli tak jest, to jest i konieczna, aby objawy życia duszy ludzkiéj odnoszono do ich źródła i wpływy na duszę śledzono w ich rozwoju. Z tego wychodząc stanowiska błędy i przywary młodości, są objawami chorobliwemi duszy, których przyczyn dochodzić należy, a przez usunięcie ich doprowadzić duszę do jéj stanu naturalnego.

Kilka przykładów z własnéj autora praktyki okażą znaczenie drobnych szczegółów w wychowaniu.

Syn zamożnych rodziców, uzdolniony i dobrego przeważnie charakteru, okazywał już od dziesiątego roku gwałtowną skłonność do gorących napojów. Rozmaitemi sposoby, nawet oszukaństwem i kradzieżą starał się o nabycie takowych i często widziano go pijanym. I z kądże pochodził upadek ten moralny w tak młodym wieku? Rodzice, szanowani zresztą powszechnie ludzie, posiadając oberżę, zajęci procederem swoim, nie mogli specyalnie opiekować się dziećmi — spostrzegli oni wprawdzie, że chłopiec zlewał sobie kropelki z wypróżnionych kieliszków gości, lecz uważali to za drobnostkę, a gdy późniéj wypijał kieliszki to i wtenczas jeszcze była to rzecz małéj wagi. Późniéj dopiero, gdy się zabrał do butelek, uznali za rzecz dość ważną, by w to wkroczyć. Lecz przy rozwinięciu się namiętności i najsurowsze kary nie mogły go poprawić. W domu rodziców swoich, w oczach ojca i matki porwał go wir namiętności, został nędzarzem. Surowe powstrzymywanie go od wypijania kropelek byłoby temu zapobiegło.

Dziwią się często rodzice i przełożeni kłamstwu dzieci. Zagadką jest dla nich, że z kądinąd „szczery i prawdę miłujący“ wychowaniec tak zgrabnie, tak bezczelnie kłamać umie. Wada ta sama przez się manifestuje. Kłamstwo i co za tem idzie, jest takiem zboczeniem od prawdy, że pierwsze kłamstwo i cały szereg następnych natychmiast się zdradza. Zgrabne, bezczelne kłamstwo każe się domyślać zwyczaju, ćwiczenia, których niestety nie spostrzeżono, boć to wszystko były tylko drobnostki. I kłamcy nie rodzą się, lecz wychowują, a wina tego cięży po większéj części na przełożonych.

Jakież to współczucie i zarazem obrzydzenie sprawia widok dziecka, bojącego się każdéj rzeczy, uciekającego z krzykiem lub ze drzeniem przed obcą osobą. Obawa ta nie jest małéj wagi. Zwykle biciem, zamykaniem i innemi środkami gwałtownemi chcą ją wypędzić. Lecz gdy w każdém miejscu, którego małe dziecię unikać miało, chowa się dziad stary (babok), rzecz każda, któréj ruszyć nie

miało, kąsała, gdy nie karano niebaczności dziecka, lecz stół niewinny, o który się uderzyło, i gdy matka bojaźliwie przy każdym krzyku dziecka rozpływała się w litości i żalach, wtedy odpierano przestrzegającemu przyjacielowi: „to drobnostki, co one szkodzić mogą!“

„To tylko drobnostka!“ gdy małe dziecię postawi kilkakrotnie na swojém wbrew objawionéj wyraźnie woli przełożonego, boć nie podobna, aby dla podobnéj „drobnostki“ płakało. Po niejakim jednakże czasie nie można już „wytrzymać z krnąbrném dzieckiem“, kara następuje po karze, która najczęściéj nie tylko nie pomaga, lecz złe pogarsza.

Niepodobna zataić podziwienia i przerażenia, kiedy nareszcie spostrzeżemy podstęp i przebiegłość, jaką dzieci, a mianowicie dziewczęta w swym stósunku do rodziców, rodzeństwa, sług i innych ludzi okazują. Uśmiech zadowolnienia przy „małych roskosznych figlach malców“ jest także niczém więcéj jak „drobnostką.“

Moglibyśmy tysiące naliczyć przykładów, gdzie przez niezważanie na rzekome drobnostki, dzieci zostały zepsute, lub narażone w przyszłości na dotkliwe kary, których uniknąć było można. Cośmy przytoczyli, wystarczy może by rodziców myślących uwagę zwrócić na drobnostki. Przekonają się oni rychło, iż bez baczenia na „drobnostki“ a więc bez wielkiego mozołu wychowanie jest niepodobném. W wychowaniu nie ma nic, coby było małego znaczenia. Dzieci są małemi, czyny w małym ich świecie, mają dla nich toż samo znaczenie, co nasze czyny w wielkiem świecie. Co się w tym ich małym dzieje świecie, robi na nich nie wrażenie drobnostki, wzrusza je o tyle, o ile wzruszają nas wypadki w świecie dorosłych. Przełożony musi poznać charakter swego wychowańca. Charakter ten objawia się w małém, w drobnostkach. Przełożony by niemi kierować, musi poznać zdolności, talenta i skłonności swych dzieci, użyć ich a nareszcie oznaczyć powołanie. Objawiają się one w drobnostkach tylko, w małém. Im rychléj zwróci się na nie baczność, im rychléj poznane zostaną, tém też łatwiejszém i skuteczniejszém jest wpływanie na nie. Niechaj nikt nie utyskuje, na nieuków w tém lub w owém powołaniu; mogli by oni raczéj utyskiwać na nieuctwo w ich wychowywaniu.

(Dokończ. nast.)

FRYDERYK SZOPEN.

(Ciąg dalszy.)

We dwa lata po bytności w Berlinie, ojciec widząc jak wiele Fryderyk mógł zdobyć jeszcze w podróży za granicą, i chcąc korzystać ze sposobności jaką nastręczał wyjazd przyjaciół, nie wahał się syna do wyjazdu nakłonić. Projekt ten przyszedł do skutku dnia 2. Listopada 1830. Przed wyjazdem dał dwa pożegnalne koncerta gdzie kwiatami i wieńcami ulubionego artystę obrzucono. Jeżeli tysiące młodzieńczych marzeń towarzyszyło wyjazdowi artysty, jeżeli świat nowy i przyszła sława wabiła go do stron zagórnych, to jak zwykle na ziemi tak i tą razą, szczęście nie było pełne.

Przed wyjazdem pokochał pannę Konstancyę Gładkowskę, młodą i utalentowaną śpiewaczkę i uczennicę b. konserwatoryum w Warszawie. Było to, mówi Liszt, dziewcze piękne jak madonna włoska, ze spojrzeniem obciążonem głęboką czułością. Po rozstaniu była spokojną ale smutną. Chcąc własną mocą kochankowi dodać odwagi, cios ten zniosła z abnegacyą naiwną i razem uroczystą. Nic więc dziwnego że Szopen mógł pokochać istotę posiadającą tyle przymiotów duszy i ciała i że przy rozstaniu się z przedmiotem uczuć swoich doznał pewnego rodzaju tęsknoty i żalu, który się w listach z zagranicy pisanych przez czas długi, przebija. Ukrywając się przed rodzicami nie śmiał im o tém wspominać ale przed przyjacielem z całą otwartością maluje niepokój duszy swojéj, błagając go aby choć kilku słowy doniósł mu co porabia (jak ją nazywał) jego anioł pokoju. Pomimo z obu stron dosyć wyegzaltowanych uczuć, wypadek ten na dalsze życie Szopena, żadnego nie miał wpływu.

Opuścił tedy Szopen, i to niestety na zawsze, to co najmocniéj i całą duszą kochał: kraj, rodzinę i życzliwych przyjaciół. Błogosławieństwo ojca i łzy matki, czułe sióstr uściśnienia pożegnaniu towarzyszyły. Liczne grono przyjaciół i artystów, na których czele Elsner zasłużony, odprowadzili go do Woli gdzie uczniowie szkoły muzycznéj wykonali śpiew pożegnalny. Ostatniem echem pożegnalnym, były dźwięki pieśni rodzinnéj, — on je uniósł i w ciągu swego żywota niemi do świata przemawiał. Bo też pieśń nasza to skarbnica nieprzebrana! Przędzą myśli, a kwiatem uczuć, powiada Wojcicki, możnaby nazwać pieśń ludową. Zaprawdę, jak pająk przędzą z siebie wysnutą, zaściela w pogodną jesień nasze rzyska, samotne ugory, i umajone jeszcze łąki, tak pieśń ludowa, owa przędza myśli, spływa rosą po naszych niwach, odbija o snopy zbożowe, skraca pracę plewidła, gnieździ się przy ognisku domowem, w pałacu i najdymniejszéj chacie.

Pieśń towarzyszka narodu w pieluchach niemowlęctwa duchowego, jak anioł stróż czuwa nad nim wśród lat młodocianych i dojrzałości nawet. Jak ptak przywiązany do rolniczéj miedzy, przeczekuje zimowe mrozy i zamiecie, a aby słonko, wzlata choć w niepozornym jak skowronek przystroju, a cudnym śpiewem i świat boży i lud boży weseli, tak pieśń ludowa wiosną i latem bujając po polach, tuli się w poddasze słomiane gdy Śty Marcin przejedzie na białym koniu nasze niwy. I cóż jest treścią naszéj pieśni, którą miliony serc czują i przechowują? Treść to różnobarwna, jak kolory tęczy, bledsze, jaśniejsze; i jak tęcza pije rada wodę z jezior i rzek naszych, tak pieśń bierze coraz nowe siły z krynicy nieprzebranéj uczuć ludu. Polak żyć bez pieśni nie może; ochoczéj wytrwa głód i pragnienie, biedę i nędzę przeniesie rychléj, jakby obył się bez pieśni, którą dziewcze mazurskie rosą bożą nazywa.

Tą rosą się poił i na tym tle rozpoczął i skończył za-

wód swój nasz Szopen. W chwili wyjazdu był on już skończonym artystą a publiczność nasza licznemi dowodami przekonała, nie czekając na wyroki zagraniczne, że umie poznać i ocenić prawdziwy talent. Dzienniki ówczesne przepełnione były pochwałami a jeden z tych wyraża się „że Polska szczycić się kiedyś będzie jednym z największych wykonawców i kompozytorów w Europie.

Wyjechał tedy nasz Szopen przez Kalisz, Wrocław, Drezno i Pragę do Wiednia. Listy z tych miast, których znaczną ilość p. Karasowski drukiem ogłosił, opisują szczegóły podróży, zrobione znajomości i wrażenia artystyczne. We Wrocławiu namówili go artyści do odegrania koncertu, na którym wykonał Rondo z 2. koncertu i Romans. Na próbie jak pisze sam Szopen, „dziwili się Niemcy mojéj grze: Was für ein leichtes spiel, a o kompozycyi nic. Nawet Tytus słyszał jak jeden mówił że grać mogę ale nie komponować. Ponieważ ja niemam ustalonéj reputacyi, więc dziwiono się i bano się dziwić; nie wiedzieli czy kompozycya dobra czy téż im tak się tylko zdaje. Jeden z tutejszych znawców, przybliżył się do mnie i chwalił nowość formy, mówiąc że mu się jeszcze nic w téj formie nie zdarzyło słyszeć. Niewiem kto to był, ale ten mię nalepiéj może zrozumiał.“

W liście z Drezna, rozrywany na wszystkie strony opisuje bez porządku znajomości w kołach artystów i w towarzystwach polskich. Pisze że oprócz Klengla nie było tam nic godnego uwagi i że popisywać się w Dreznie niema ochoty, gdyż to ani sławy ani pieniędzy mu nieda, których bardzo potrzebuje. Klengel powiedział że gra jego przypomina grę Tiedla, że ma rzadki sposób uderzenia, że wprawdzie wiele o nim słyszał, ale nie spodziewał się znaleźć w nim takiego wirtuozę. W podróży téj większość czasu zabierały mu towarzystwa polskie, gdzie najchętniéj przebywał — bardzo téż mile wspomina generała Kniaziewicza, Niesiołowskich, Szczerbinów i innych.

Przybywszy do Wiednia otrzymał list z domu a z odpowiedzi nań wyjątek przytaczamy jako malujący czułe i tkliwe serce na wspomnienia rodzinne.

„Maleńkie moje serduszko zaśmiało się z listu odebranego poraz pierwszy od czterech tygodni, czyli od czasu jakem się z Wami pożegnał. Lepiéj się jadło obiad. Dziki Człowiek, (tak się bowiem nazywa doskonała oberża w któréj jadamy) wziął odemnie za apetyczne konsumowanie sztrudlów całego reńskiego i krajcarów kilka. Uciecha była ogólna bo i Tytus miał listy od swoich. Celińskiemu dziękuję za przyłączony bilecik; przeniósł on mię na Wasze łono. Wyobraziłem sobie iż siedzę przy fortepianie. Celiński stoi naprzeciwko mnie i patrzy na pana Żywnego, co z Linowskim tabaczką się częstuje. Tylko Matuszyńskiego brakło do kompletu, ja myślę że on ma jeszcze febrę... Ale dosyć już romansów; przyjdzie na mnie ta kanikuła, bo tu dużo ładnych Niemek, lecz kiedy przyjdzie... ach kiedy!“

W końcu wspomina o projekcie wystąpienia publicznie: „Nie zazdroszczę Orłowskiemu że Lafonowi akompanijuje, może przyjdzie czas że mi Lafont będzie akompaniował. To trochę za śmiało. Ale dalibóg może być. Würfel wciąż mi o koncercie bajdurzy i mówił mi że tutejsze gazety dużo o moim koncercie F-moll pisały. Istotnie nie wiem jak mi ten tydzień zleciał, aniśmy się obejrzeli a ja jeszcze żadnych stanowczych kroków do koncertu nie uczyniłem.

„Questio? który koncert grać F. czy E? Würfel utrzymuje, ze F piękniejszy od as dur Hummla, co teraz u Hasslingera wyszedł. Hansslinger mądry, on mnie grzecznie ale lekko chce zbywać, żebym mu darmo kompozycye dawał. Klengel się dziwił, że mi nic za waryacye niezapłacił. Może myśli, że na pozór ważąc sobie lekko moje rzeczy, ja to wezmę na seryo i dam mu je darmo? Ale się już darmo skończyło, teraz becal bestyo!...“

Prócz masy szczegółów tyczących się życia i uwydatniających charakter, które w listach Szopena znajdujemy, dają nam one jeszcze to przekonanie, że wielki mistrz od lat młodzieńczych miał głębokie przeświadczenie swojéj rzeczywistéj wartości i swego powołania przyszłego. Nie była to młodzieńcza pyszałkowatość. Nie. Rrzez przez niego stworzona, wystudyowana, tysiąc razy przeistoczona w świat wychodziła bez skazy. Nie czuciem ją tylko pojmował ale przekonaniem, nieledwie powiem matematycznym rachunkiem. Nic więc dziwnego, że na téj wyżynie stojąc, mógł z dumą pociski rzucane odpierać i prawdy w tonach wypowiedzianéj uporczywie bronić. Tego rodzaju objawy tylko z pierwszorzędnemi geniuszami w parze chodzić mogą.

Wypadki zaszłe w Warszawie wkrótce po wyjeździe Szopena wielkie na nim zrobiły wrażenie. Na wieść tych wypadków przyjaciel jego Tytus Wojciechowski zaraz opuścił Wiedeń i wrócił do kraju. Fryderyk chciał także z nim lecieć na obronę ukochanéj ojczyzny, ale usilne nalegania rodziców odwiodły go od tego zamiaru. Pomimo to jednak ogarnięty tęsknotą i niepokojem o los ojczyzny, rodziny i przyjaciół, złapał extrapocztę i całą stacyę Tytusa gonił. Napróżno! Wrócił do Wiednia i zaczął o koncertach myśleć, ale ludzie z obojętnieli dlań jakoś, on zaś był tęskny i ponury, zajęty więcéj ówczesnemi wypadkami polityki, niż własnemi sprawami. Po półrocznym pobyciu doszedł do dania koncertu, ale powodzenie nie musiało odpowiedzieć jego oczekiwaniom, skoro nawet w listach swych ani razu o nim niewspomina. Objawy te nieentuzyazmu drażniły i smuciły wrażliwą duszę Szopena — to téż w jednym z listów do rodziców, pyta się sam siebie: Pocom ich opuścił? Po co? Już się stało.

Niegdyś wesoły, trzepiotowaty i dowcipny Szopen, dziś w listach swoich maluje się smutny — dumający o rodzinie i kraju i roztkliwiający się na ich wspomnienia. Pomimo, że go rozrywono i chętnie w najpierwszych widywano towarzystwach, unikał ich — bo — jak sam pisze: „Jak mi tu dobrze w pokoju. Naprzeciwko dach a na dole pigmeje. Jestem wyższy od nich! Najlepiéj mi kiedy nagrawszy się na cudnym fortepianie Graffa, idę spać z waszemi listami w ręku. To téż nawet we śnie Was tylko widzę.“

Albo téż w piśmie do najlepszego z przyjaciół, Jana Matuszyńskiego: „Spragniony byłem twego pisma, wiesz czemu? ale nie tylko dla mego anioła pokoju. Bo ja go kocham, gdybym mógł, wszystkie bym tony poruszył, aby choć w części odgadnąć te pieśni, których rozbite echa, gdzieś jeszcze po brzegach Dunaju błądzą, które wojska Jana III

śpiewało. Gdyby nie to, że ojcu teraz może ciężarem, byłbym natychmiast wrócił. Tak mi smutno... głucho... ponuro i t. d.“

Tym tonem, jeszcze więcéj nawet lirycznym, wszystkie korespondencye z Wiednia są nacechowane. Nareszcie zdecydował się opuścić Wiedeń. W pierwotnym planie podróży Szopena były umieszczone Włochy; lecz zapewne z przyczyny wybuchłych tam rozruchów, wolał udać się do Anglii. Tam więc kazał sobie zawizować paszport, a mając zamiar w Paryżu zatrzymać się dni kilka, dla poznania się z Cherubinim, który był dyrektorem konserwatoryum tamecznego, prosił aby na wizie do Londynu dodano wyrazy! „Passant par Paris.“ Te trzy słowa rozstrzygnęły o jego losie — zamiast bowiem tych dni kilku, resztę życia swego, lat przeszło 18 w tém mieście spędził. Przed przybyciem atoli do Paryża, dał się słyszeć na koncercie w Monachium, którego świetne powodzenie, wynadgrodziło brak zapału i cierpienia jakich doznał w Wiedniu.

Pierwszy raz Szopen wystąpił w Paryżu (mówią wspomnienia o nim Tygod. Illustrowanego), w kółku artystów, w sali Pleyela, do którego fortepianów przez całe życie zachował szczególną sympatyę. Grał wtedy swój pierwszy koncert i kilka mniejszych kompozycyi. Audytoryum złożone ze znawców, od razu jak powiada Fetis, oceniło piękność jego dzieł i wykonanie.

Były jednak i między niemi różne zdania; — Kalkbrener mający wówczas największy rozgłos w Paryżu, jako fortepianista i nauczyciel muzyki, znajdował sposób palcowania Szopena w cale niepoprawnym. W istocie nasz artysta posiadał już wtedy te zasady gry, które i późniéj zachował i które dotąd stanowią oryginalność jego; więc i palce czasem niechciały słuchać przepisów klasycznéj szkoły, Scarlatich i Sementich. Szczególniéj Kalkbrenera gorszyła gama chromatyczna, w któréj często obywał się bez 1go i 2go palca. Pomimo tych uwag wszyscy pierwszorzędni artyści, Mayerber, Talberg, Kalkbrener i Moszeles, przyznawali mu geniusz. Niewystarczało to jednak by między tyloma wielkościami stworzyć sobie imię popularne. Widział to Szopen i dla tego z całem zaufaniem dawnego ucznia pisał do Elsnera, czy na 3 lata nauki, którą mu u siebie Kalkbrener wyznaczył, ma się zgodzić lub nie.

Trzy lata to za wiele! woła on, sam nawet Kalkbrener to przyznał. Jednakże i na trzy lata pracy bym przystał, bylebym tylko duży krok mógł uczynić w nowych przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrenera; nie zdoła on zatrzeć zbyt śmiałéj może, ale szlachetnéj chęci i myśli: utworzenia sobie nowego świata i jeżeli pracować będę to dla tego, ażeby na tym mocniejszych nogach stanąć.

Jeżeli przypomnimy sobie jakiéj metody trzymał się Elsner przy nauce Szopena, łatwo się odpowiedzi domyślimy. Była ona w prost przeciwną projektowi Fryderyka — on sam nawet wkrótce się przekonał, że jeżeli nie wyżéj, to bezwątpienia niżéj od projektowanych przewodników niestał. Przybywszy do Paryża, bez wielkich materyalnych zapasów musiał przedewszystkiem starać się o wypłynięcie na wierzch z pośród tłumu muzyków. Pomimo protekcyi polskich domów, trudny był bardzo początek, tak nawet dalece, że zrażony niepowodzeniami, postanowił opuścić Paryż i udać się do Ameryki. Szczęście, że uległ silnym naleganiom i prośbom rodziny i pozostał na miejscu. Wkrótce téż horyzont rozjaśniać się zaczął. Najpierwsze stolicy domy zaczęły się starać o zaszczyt posiadania w swoich salonach artysty. Kompozycye stanęły w opinii na równi z najpierwszemi arcydziełami muzyki, a żądaniom lekcyi nastarczyć niemógł.

Przyjaciel jego Jan Matuszyński, w liście do szwagra już o tém wspomina.

„W Paryżu pierwszem mojem zatrudnieniem było szukać Szopena; niezdołałbym tu opisać szczęścia, któregośmy zobopólnie doznali, po pięcio-letnim niewidzeniu się. Utył on, wyrosł, zaledwiem go poznał. Szopen jest pierwszym dziś artystą na fortepianie; lekcyi daje mnóstwo, a wszystko po 15 fr., kompozycye jego najwięcéj są teraz pokupnemi, napisał téż ich nie mało. Mieszkam z nim razem, chociaż mi daleko do l'École de Medecine i szpitali, Szopen jest mi wszystkiem, z nim tylko żyję. Wieczorem idziemy na teatr, albo wizytę, a jeżeli nie, to się w domu siedzi.“

(C. d. n.)

BÓG I ŚWIAT.

Stwórco i Sędzio świata!
Tyś Pan! Ty Ojciec!
Ku Tobie ze wszech stron,
Jak jeden płaczu ton,
Głos ludzkich modlitw ulata —
Lecz komu woli Twéj doeiec!

Panie! nikt nie wie,
W łasce czy w gniewie
Ważysz nad ziemią przeznaczeń jéj szalę?
Góry runą w otchłanie,
Lecz co po nich powstanie?
Panie! Panie!
Obyż ku Twojéj chwale!

Wiek i człowiek rzekł wzajem:
„Dojrzeliśmy, i stajem
Początkiem nowych dróg.
Zakon nasz nam ogłasza
Natura, matka nasza,
My i ona — to Bóg.

„Sobie nieśmy ofiary:
Ona nam swoje dary,
My jéj sztukę użycia.
Siłą złączoną wzajem,
Ziemię uczynim rajem,
Roskosz prawidłem życia.“ —

I jedni przed drugiemi,
Skarby i dzieły swemi
Chełpili się, wołali:
„Patrzcie! gdzie już dosięga
Rozum nasz i potęga!“
I — i tryumfowali.

Ludzkość w prostocie ducha
Słuchała, i otucha
Pokrzepiała cierpliwość.
„Czekajmy! niedaleki
Dzień, gdy już nam na wieki,
Rozum zjedna szczęśliwość!“

Panie! czyż te dział gromy,
Co wstrząsły świat widomy,
Jéj zwiastują przybycie?
Czy jęk i płacz sierocy,
Z południa i z północy,
Nowe witają życie?

Panie! Panie! straszliwa
Snać się proba odbywa,
Aż świat w skutkach obaczy:
Jak i na co pracował,
Jakim bogom hołdował,
I — i zacznie inaczéj.

Bóg z Niebios majestatu,
By nieść zbawienie światu,
Sam stał się sługą sług.
Z nich każdy chce na ziemi,
Być wyższym nad wszystkiemi
I stać się jako Bóg.

Bóg w człowieku śród świata,
W każdym miłował brata,
Za wszystkich przelał krew.
W nim chciwość wiecznie wzdyma
Jad zawiści Kaima,
I bratobójczy gniew.

Ach! czyż świat nie obaczy,
Komu służyć ma raczéj,
Bogu, czy ludzkiéj dumie?
Nie raczéj-li da ucha
Na głos Bożego ducha,
Niż pychy w swym rozumie?

Panie! a gdy się ziści,
Że zamiast nienawiści,
Świat spoi zgoda bratnia:
Nie będzie-li i ona
Wojna błogosławiona,
Co już była ostatnia?

A. E. Odyniec.

MICKIEWICZ WE WŁOSZECH.

(Ciąg dalszy.)

Z końcem Października rodzina S. opuściła Genewę. Droga do Rzymu wypadała na Medyolan: trudno było nie zatrzymać się kilka dni, w starożytnym grodzie Longobardzkim. Przybył tam i Adam, sam jeden; pan Edward pojechał do Paryża. Na wiadomość że Adam jest w Medyolanie wybuchnął długo tłumiony gniew hrabiego. Wyrzucał gorzko hrabinie, że zbytniem pobłażaniem naraża córkę na niebezpieczeństwo. Żądał aby wyraźnie oświadczyła poecie iż zabiegi jego są bezskuteczne.

Dobra matka oparła się temu stanowczo.

„Powiedz mu sam! to nie wyjdzie z ust moich“, zawołała. „Godziż się lekceważyć ten potężny geniusz? Pragniemy szczęścia córki, otóż on jeden uszczęśliwić ją może.“

„Nigdy!“ przerwał hrabia, „wolałbym ją widzieć na marach! niechby ją raczéj wyniesiono trupem z domu mego.“

Serce matki ledwie nie pękło. Zadrżała o życie Ewuni, o to życie tak gorąco wymodlone u Boga, okupione tylu macierzyńskiemi łzami. Słowa zamarły na jéj ustach. Gwałtowny atak nerwowy całą był odpowiedzią.

Ewunia słyszała całą rozmowę z przyleglego pokoju, oddzielonego cienką ścianą. Łatwo zrozumieć co się działo w jéj sercu. Biedna zalewała się łzami.

Zatrwożony chorobą matki, hrabia spowolniał nagle. Wieczorem nawet aby nie pogorszyć jéj stanu, przyjął dość uprzejmie Adama. Poeta nadzwyczaj był w tym dniu rozmowny i ożywiony, każde jego słowo nacechowane było piętnem geniuszu. Hrabia pociągnięty potężnym tym wpływem, ulegał mu wbrew własnéj woli. Chwilowa pogoda powróciła po burzy. Następnych dni zwiedzano razem Medyolan. Tu już Adam służył za Cicerone, znał bowiem stolicę Lombardyi, spędziwszy w niéj dni kilka w roku zeszłym przed przybyciem do Rzymu. Oglądali razem pracownię sławnego rzeźbiarza Marchessi, malarza Appiani. Adam przyprowadził do domu hrabiego, kilku znajomych poetów i literatów: Grassi, Sogni i innych. Rozpoczęły się znowu miłe wieczorki literackie. Nie w smak to poszło hrabiemu; postanowił raz skończyć rzeczy. Dnia jednego, nie mówiąc nikomu ani słowa, wywiózł żonę z panienkami do jeziora Como. Nie była to pora na podobne przejażdżki. Październik zbliżał się do końca; wicher dął zimny, mgła jesienna przysłaniała grzbiety Alp. Ewunia patrzała na wszystko obojętnie z sercem dziwnie ściśniętém.

W kilka dni podróżni nasi wrócili do Medyolanu. Ewunia drżała, skrzepła od chłodu i znużenia. W parę godzin potém przyszedł Adam. Wieczór zszedł smutno, poeta zrozumiał o co idzie.

Nazajutrz o piątéj z rana hrabia zbudził ze snu żonę i panny. Powóz czekał zaprzężony przed hotelem. Wyjechano do Olegio z odwiedzinami do przebywającéj tam rodaczki pani D. Żaden bliższy stosunek nie łączył z sobą dwóch domów. Z Medyolanu do Olegio w Sabaudyi, droga dosyć daleka i przykra. Nieznośna to była podróż; po drodze trzeba było zatrzymać się w nudnéj Nawarze. Nim państwo S. powrócili z wycieczki, Adam opuścił Medyolan;

zostawił tylko list z pożegnaniem do hrabiny. Smutny to list; znać jak serce jego silnie było dotknięte. Donosi że wyjeżdża do Ankony, zkąd puści się w podróż po Wschodzie. „Nie wiem czy się kiedy zobaczymy“, dodaje w końcu, „niech Bóg strzeże panie we wszystkich potrzebnych i niepotrzebnych podróżach!“ Hrabina pokazała list córce; odtąd przez długi czas nikt w domu nie wspomniał imienia Adama. Kto nie zgadnie co cierpiało serce Ewuni.

Zdrowie biednéj zachwiało się w skutek przebytych wstrząśnień. Przyjechała słaba do Parmy, gdzie potrzeba było zatrzymać się dni kilka. Słabsza jeszcze przybyła do Piacenza. We Florencyi położyła się w łóżko; choroba jéj przybrała zatrważający charakter.

Po kilku tygodniach o tyle było lepiéj, że stan zdrowia pozwalał wreszcie puścić się w dalszą drogę; hrabina wiedziała iż Adam jest w Rzymie; pisał do niéj, jak jadąc przez Loretto do Ankony, spotkał się z Henrykiem Rzewuskim, który z rodziną pospieszał do Rzymu. Rzewuski odwiódł go od podróży wschodniéj i gwałtem prawie zabrał go z sobą. Hrabina nikomu o tém nie wspominała, w obawie iżby mąż nie zmienił zamiaru, i nie wywiózł rodziny w inną stronę.

W ostatnich dniach Listopada państwo S. przybyli do Rzymu. Zamieszkali jak zwykle przy ulicy Mercede. Ewunia uczuła się jakby odrodzona pod wpływem miłéj dla niéj atmosfery, w miejscu które jéj nasuwało tyle drogich pamiątek. Tegoż dnia po przyjeździe hrabia wyszedł na Monte Pincio. Niezadługo wrócił do domu.

„Spotkałem Mickiewicza“, rzekł w obec rodziny, „będzie tu dziś wieczór z Henrykiem Rzewuskim i księdzem Chołoniewskim.“

Serce Ewuni uderzyło na gwałt. Nie wiedziała sama czy się cieszyć czy trwożyć; ale ojciec wyrzekł te słowa spokojnie: nadzieja wstąpiła do jéj duszy.

Przyszli zapowiedzeni goście, przyszedł i Adam, ale jakiś nie swój i zadumany. Zamienił z Ewunią ledwie kilka słów; żalił się bardzo na rozłączenie z panem Edwardem, który zmuszony był wyjechać do Paryża.

Przez całą zimę tęsknił on bardzo za towarzyszem; mówił o nim codziennie z uczuciem najgorętszéj przyjaźni.

Towarzystwo polskie w Rzymie liczne było w tym roku. Duszą jego był Henryk Rzewuski, dawny przyjaciel hrabiego, sercem oddany Adamowi, z którym niegdyś podróżował po Krymie. Zmiarkował on od razu cały stan rzeczy; wiedział że z takim człowiekiem jak hrabia, potrzeba iść zwolna do celu, radził też cierpliwość i o ile mógł, ożywiał nadzieję w sercu biednéj Ewuni.

Przebywał też w tym roku w Rzymie, młody, ledwie ośmnastoletni Zygmunt. Niepospolita była to już wtedy osobistość. Zwykle poważny i zadumany, ożywiał się jednak czasami, w sympatyczném dla niego kole. Wówczasto słowa wybiegały z ust palące jak lawa, oczy jego rzucały błyskawice. Hrabina S., którą kochał jak matkę, miała szczególny dar wyciągania go na słowo. Czytywał on niekiedy własne utwory, nie przyznając się przecież do nich, i sam ostro je krytykował. Adam przeciwnie: jeżeli czytał, to innych poetów; własnych poezyi czytać nie lubił i nie umiał: improwizował tylko i to w chwilach wysokiego nastroju ducha.

Henryk Rzewuski pisał właśnie wtedy powieści Soplicy: Adam nie mało wpłynął na tę pracę. Sam też nawzajem pełną piersią pochłaniał ów czar starodawnych tradycyj, jaki Rzewuski roztaczał wkoło siebie. Temu w Rzymie spotkaniu najpierwszego poety, z najznakomitszym powieściopisarzem współczesnym, zawdzięcza literatura nasza, dwa pierwszorzędne arcydzieła.

W miarę jak Rzewuski kreślił obrazki swoje, odczytywał je przy ulicy Mercede. Nieraz w skutek wynikłych rozpraw, dopisywał całe karty, w obec zebranego towarzystwa. Ewunia z ciekawością przysłuchiwała się tak czytaniu jak i rozprawom. Zima ta nie mało wpłynęła na zwrot jéj myśli ku rzeczom narodowym.

Dowcip Rzewuskiego prawdziwie był niewyczerpany. Ożywiał on nietylko nasze grono, ale niemniéj ożywiał inne koła rzymskie. Razu jednego zaproszony był na obiad dyplomatyczny do jednego z pierwszych ambasadorów. Ktoś z obecnych wysławiał takt polityczny, z jakim Austrya umie rozporządzać posłami. „Cesarz“, mówiono, „jako król węgierski, ma w Paryżu Apponyego, a Esterhazego w Londynie; jako król czeski ma w Rzymie hr. Lutzowa; jako król Galicyi i Lodomeryi utrzymuje w Szwecyi Wojnę, a w Hadze Miera.“

„A jako król Jerozolimy“, przerwał Rzewuski, „ma w Neapolu hr. Lebzerterna.“

Wiadomo, że Habsburgowie, odziedziczyli niegdyś tytularną godność królów Cypru i Jerozolimy, któréj do dziś dnia używają.

Słowa Rzewuskiego wywołały śmiech z ust zimnych nawet dyplomatów: nazajutrz powtarzano je w całym Rzymie.

Opowiadał potém Rzewuski, jak czując wyrzut sumienia za słowo rzucone lekko na Lebzerterna, którego rodowód nie był mu dostatecznie znany, pojechał do Monte-Cassino, jak spowiadał się przed pobożnym Benedyktynem, który za pokutę, nakreślił krzyż kredą na ziemi, i kazał go zlizać penitentowi swemu, czego on z pokorą dopełnił.

Do codziennych gości przy ulicy Mercede, należał Piotr Aigner, starzec przeszło ośmdziesięcioletni, urodzony w Warszawie, sławny swego czasu architekt. Onto między innemi wykonał plan kościoła Aleksandryjskiego w Warszawie, on budował w Puławach świątynię Sybilli na wzór podobnejże w Tivoli pod Rzymem. Wielki to był oryginał, zagorzały miłośnik architektury greckiéj. Nie cierpiał stylu gotyckiego ani maurytańskiego. Henryk Rzewuski z Zygmuntem na przekor staremu klasykowi, podnosili architekturę średniowieczną; wyliczali najpiękniejsze jéj arcydzieła.

„Wszystko to mameluki“, powtarzał Aigner, „prawdziwe barbarzyństwo: Grecy jedni rozumieli architekturę.“

Starzec część życia przebył w Puławach: wielką czcią otaczał pamięć księcia generała ziem podolskich, jak on nie cierpiał francuzczyzny. W polskiém gronie mówił zawsze po polsku; między Włochami używał włoskiego języka. Jeśli czasem wszczęła się rozmowa po francuzku, gniewał się i szarpał nie żartem.

„Gdyby tu był książę generał“, mawiał zadąsany, „gotówby powiedzieć, że przyjechali Francuzi z Mokotowa*).

Służył on niegdyś pod Kościuszką. Nazywał go zawsze pan Kościuszko. Naprożno Zygmunt tłumaczył mu, że ów pan dodany do historycznego imienia, jest raczéj ubliżeniem niż oznaką czci.

„Jakbym ja pragnął przestać być już panem Mickiewiczem“, mówił Adam.

Niepodobna było przekonać starca. Ów pan w oczach jego tak był niezbędnym, jak liść akantu na kolumnie korynckíej.

Otrzymał on niegdyś od Kościuszki tabakierkę zwyczajną, okrągłą z toczonego drzewa. Nosił ją zawsze przy sobie, aż dnia jednego zgubił w Rzymie ów upominek. Przez kilka dni niepocieszony był po téj stracie.

Przyszedł wreszcie na ulicę Mercede, z twarzą rozpromienioną.

„Jakbym zgadł, że zguba się znalazła“, rzekł Zygmunt.

„Tak jest“, odgarł z tryumfem Aigner, „znalazłem wreszcie tabakierkę pana Kościuszki.“

„A to gdzie?“ zapytał Zygmunt.

„W sklepie“, odparł, dobywając z kieszeni pamiątkę.

„Ależ to nie ta“, zawołali obecni. „Tamta była wytarta i zużyta, a ta zupełnie nowa.“

„Jużciż nie ta“, odrzekł, „ale zupełnie taka sama. Dopóty dreptałem po kramach, aż znalazłem podobniuteńką.“

*) Książę zarzucał rodzinie Potockich z Mokotowa, skłonność do przyjmowania mowy i obyczajow francuzkich.

Innego dnia przyniósł portret świeżo namalowany: przedstawiał oficera kawaleryi.

„Któż to jest?“ zapytał Rzewuski.

„To mój brat pan Jakób.“

„Czy przemalowany ze starego portretu?“ zapytała hrabina.

„Wcale nie“, odrzekł starzec. „My obaj podobni byliśmy do siebie, jakby dwie krople wody. Otóż ja kazałem wymalować moją twarz, tylko odmłodzoną o lat trzydzieści kilka, mundur zaś wykonany podług mego opowiadania.“

Aigner niesłychanie był skąpy; odmawiając sobie wszystkiego, uciułał on pełną szkatułę złota. Żałował na pierwsze nawet potrzeby, karmił się jak mówił aurorą, i zalecał wszystkim ten pokarm.

Tą aurorą była mięszanina kawy i czekolady.

Kiedy umarł w kilka lat potém we Florencyi, znaleziono pod podłogą kilkanaście tysięcy dukatów. W szkatułce był testament: wszystko co miał zapisał ordynatowi Zamoyskiemu. Wartoż było żyć aurorą, aby dorzucić garstkę złota do milionów ordynatowskich? Pokazuje się jednak, że aurora służyła zdrowiu: Piotr Aigner umarł stuletnim blizko starcem.

Nakoniec towarzystwo przy ulicy Mercede, nagle się rozproszyło. Z licznego grona został tylko Rzewuski, Aigner, Zygmunt i Adam. Ostatniego wstrzymały jakieś nieprzełamane trudności paszportowe. Zygmunt nie mógł wyjechać ulegając stanowczéj woli ojca.

(C. d. n.)

Szarada.

W żagiel poezyi z całych piersi tchu dmę,
Wieszczy mnie zapał do rymów porywa...
Jeżeli nie wiesz jak się drugie siódme
Rzecz, która zwykle pod spodem niebywa,
Chociaż ją każdy z swawolników rodu,
Szczególniéj wtedy gdy wnętrze jest puste
Może, gdy zechce, położyć u spodu, —
To ci wprost powiem: jest to siódme szóste.
Jeśli o pierwszéj siódméj nie słyszałeś,
To już ci za złe trzecie, piąte, czwarte,
Choć to stworzenie dla nas mało warte;
Lecz jeśli nie wiesz, albo zapomniałeś,
Że wszyscy byli żydów prapradziady,
To... daruj bracie... nie zgadłeś Szarady.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 21: ***Wielkopolanki.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Henrykowi Merzbach w Brukselli: Za wiązankę poezyi nadesłanych serdecznie dziękujemy. Independance pod opaską odeszlemy. — Pani T.....a w Gnieźnie: Nieco poźniej skorzystamy z nadesłanej pracy. Wdzięczni jesteśmy za pamięć o Sobótce. — Księdzu X. X. w Poznaniu: Rozprawki jego w kwestyi politycznéj zamieścić nie możemy. Polemiki bowiem w kwestyach religijnych i politycznych przechodzą zakres pisma z góry oznaczony. Może Dzien. Pozn. da autorowi gościnność w swoich łamach. Co zaś do złośliwych zaczepek opryszka dziennikarskiego, zbywamy je milczeniem, jako niegodne poważnéj odpowiedzi. — „Przebacz im Panie, bo nie wiedzą co czynią.“

Od Redakcyi.

W krótce życiorysy znakomitych badaczy języków Słowiańskich Franciszka Mikłosicza i księdza Franciszka Malinowskiego czytelnikom podamy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)